

Agnieszka
Wiktorowska-Chmielewska



PRAWO NATURY



Stowarzyszenie
Literatura
Autorów

PRAWO NATURY

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska

Prawo natury



Kraków 2022

© Copyright by Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, 2022

Opracowanie redakcyjne: Aleksandra Czyż

Projekt okładki: Katarzyna Klakla

Na okładce wykorzystano rysunek Anny Goli

ISBN 978-83-8138-816-0

Seria wydawnicza Stowarzyszenia Literatura Autorów

ukazuje się pod patronatem studiów magisterskich

Twórcze pisanie oraz *Podyplomowych Studiów*

Literacko-Artystycznych na Wydziale Polonistyki UJ

Tom 23

Utwór powstał w ramach programu „Goście Radziwiłłów”,
sfinansowanego przez samorząd Województwa Wielkopolskiego



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**



wielkopolska.
kultura u podstaw

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu Instytutu Literatury
w ramach Tarczy dla Literatów



WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków

tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43

e-mail: publishing@akademicka.pl

Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

*Prawem naturalnym jest to, co natura przykazuje
wszystkim ludziom. Wychowałeś dziecko, winno ci ono szacunek,
jako swemu ojcu, wdzięczność jako swemu dobroczyńcy. Masz prawo
do płodów ziemi, którą uprawiałeś własnymi rękami. Dałeś
i otrzymałeś słowo, winno być ono dotrzymane. W żadnym razie
prawo ludzkie nie może się opierać na czymś innym
niż na prawie natury.*

Wolter

Od zawsze

kochała to miejsce. Jego malownicze krajobrazy, zielone i złociste pagórki przechodzące płynnie w kolejne, hipnotyzujące niczym morskie fale obserwowane z okienka pod pokładem rybackiego kutra. Lasy bogate w grzyby, jagody, ziele. Gęste leszczyny i buki sypiące obficie orzechem. Jeziorka, te niezbyt dużych rozmiarów akweny, siedliska żab, błotnistej gliny, topielców i mrocznych tajemnic.

Kiedy tatuś zgięty nad stołem zapytał: „Córcia, komu mam ją przekazać? Jak podzielić?”, od razu wiedziała, co ma zrobić. W tym momencie nie liczyło się dla Stefki to, co było i co planowała, nie liczyły się cztery lat poza domem, dalsza edukacja, Wrocław.

Była dobra z matematyki. Miała zostać księgową. Żyć w mieście i dobrze zarabiać. Pierwsza z rodzeństwa dostała taką szansę. Poszła do liceum, w dodatku w dużym mieście. Nie w Pile czy Drawsku, nawet nie w Koszalinie czy Szczecinie, ale we Wrocławiu – pięknym, choć dziwnie smutnym mieście. Tyle kamienic, tyle zdobień, zaczarowanych zakątków. Tylu ludzi i z tylu nieznanых miejsc. Z różnymi akcentami, wymową, tradycjami. Tyle energii i dźwięków, nowych nazw i nazwisk. Brukowane ulice, tramwaje, olbrzymie budowy i place budowlane. Wielki świat, zegar ustalający rytm dnia. I ona. Przerażona i jednocześnie zafascynowana.

Tylu nieznajomych w jednym miejscu, tylu nowych znajomych w jednym czasie. Na wsi rzadko pojawiał się ktoś obcy. Miejscowi znają się od dziecka. Przyjezdni również należą do grona czyjejś rodziny, więc nim zdążą się pojawić, wszyscy już wszystko o nich wiedzą. A tu wszystko mieniło się nowością.

Pewnie dlatego z każdym rokiem coraz bardziej widziała się w mieście. Koleżanki, kawiarnie, w weekend seans w kinie Pokój, przez starszych wciąż zwanym Scalą. To było inne życie. Przyjemne, ustabilizowane, w którym plan dnia i pracy codziennie zdawał się podobny. Pobudka wpół do siódmej, szybka toaleta, śniadanie i szkoła. Po ośmiu, dziewięciu godzinach powrót do dwupokojowego mieszkania w wieżowcu na czwartym piętrze. Powrót na osiedle, gdzie ludzie na kilkudziesięciu metrach kwadratowych zbierali siły na kolejny dzień w fabryce bądź na innym państwowym etacie.

Najpierw obiad. Jarzynowa lub ziemniaki ze skwarkami i smażoną cebulą. Raz, dwa razy w tygodniu na stole pojawiało się mięso. Albo ryba. Jednak ona najbardziej lubiła kotlety z jajka i bułki tartej, czemu wprost nie mogli nadziwić się stryjek Zenon z żoną Aleksandrą.

Potem lekcje i inne obowiązki domowe: pranie, sprzątanie, prasowanie. W wolnym czasie książki i muzyka. Stryjenka zgodziła się, aby przez godzinę dziennie radio było do wyłącznej dyspozycji Stefki. Korzystała z tego przywileju najczęściej wieczorami. To była jej ulubiona część dnia. Muzyka łagodziła hałas i zgiełk dochodzący zza okna, troski i niepowodzenia w liceum, rozterki nastoletniego serca.

Tak wyglądało to prawie przez dwa lata. Potem życie powiedział Aleksandrze „nie!” i Stefka musiała zmienić adres. Życie w internacie i na sublokatorkach też miało swój urok. Nie była już tą zagubioną, przestraszoną dziewczyną ze wsi z początków liceum. Odkąd zamieszkała wśród obcych, sama mierzyła się z codziennością, poznawała życie na własnych zasadach, uczyła się jego reguł na błędach, nadstawiała karku, zbierała cięgi i nektar, stawiała się bardziej odporna i mniej sentymtalna. Wiedziała, czego chce, i wiedziała, że zasługuje na więcej, że może osiągnąć więcej. Być dla siebie sterem i mapą. Robić to, na co jej tylko przyjdzie ochota. Czerpać z miasta.

Kiedy jednak ujrzała tatusia siedzącego przy świątecznym stole, zgarbionego od nadmiaru zmartwień, tatusia zwierającego się: „Córcia, komu mam ją przekazać? Jak podzielić?”, poczuła pewność drogi. Stół, tatuś, wielkanocny klimat wzmocniły w niej potrzebę przynależności i odpowiedzialności za bliskich.

Niemniej z każdym kolejnym dniem i kilometrem, który oddalał ją od rodzinnego domu, wzrastało w niej rozdarcie. Na szali leżały: perspektywa studiów na wydziale Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, zatrudnienie jako młodsza księgowa w biurze Kombinatu Maszyn Rolniczych Agromet-Pilmet, lżejsze życie w mieście oraz tatuś i ten kawałek ziemi, który tkwił w niej zawsze, razem z ciągnącymi się po horyzont polami pszenicy, lnu, kwiecistymi łąkami, lasami oraz jeziorkami pełnymi tajemnic.

Kochała drzewa

i mogła patrzeć na nie godzinami, dotykać bruzd na korze, przesiadywać w bujnych, pachnących słodkością i orzeźwieniem koronach, zasypiać w ich cieniu latem, pocieszać je, kiedy traciły listowie.

Gdy ścinali jej ukochany jesion, płakała jak nigdy przedtem. Ponoć stał się zagrożeniem, jego korzenie coraz bardziej podchodziły pod dom, rozsadzały fundamenty. Nic nie mogła zrobić. Prosiła, błagała, obiecywała, że odtąd stanie się grzeczna, bez marudzenia będzie zjadać znienawidzony smalec i wstawać przed świtem, by zagnać na pastwisko krowy. Nie poskutkowało. Miała siedem lat. Nic więcej nie była w stanie zrobić. Jedyne, co mogła, co miała, to wybór. Pogodzić się z utratą swojego przyjaciela i opiekuna – jesionu – albo żyć żalem.

Tatuś tłumaczył jej, że pewnych rzeczy nie da się zatrzymać, taka jest natura. Trzeba nauczyć się przyjmować je z godnością. Bo nawet kiedy człowiek nie ma już nic, pozostaje mu jeszcze godność. A tego nikt, poza nim samym, nie może mu odebrać.

– Naucz się żyć ze stratą – mawiał. – Ona przychodzi i odchodzi, tak jak jej siostry: radość, miłość, nadzieja.

Słowa „śmierć” nigdy nie używał. Twierdził, że coś takiego nie istnieje. Wie, bo przetrwał wojnę, podczas której wiele widział, jeszcze więcej słyszał i sporo doświadczył. A to wystarczyło, aby nabrać pewności, aby raz na zawsze zrozumieć, że nie ma czegoś takiego jak śmierć.

Kochała też pola. Żłote, sierpniowe łany pszenicy, oziminę wyrzynającą się z ziemi razem z pierwszymi wiosennymi dniami. Majowe łąki pełne kwitnącej czerwonej koniczyny, stokrotek i kaczeńców. Zapach świeżo ściętej trawy i suszącego się w słońcu siana. Niezapominajki.

Kochała zwinne białe motyle z czarną kropką i ich płasy, pasikoniki i ptasie trele. Sarny pasące się pod lasem. Wszystko, co dzikie. Ze zwierzętami w gospodarstwie było jednak inaczej. Jakby podświadomie czuła, że miłość do nich to niebezpieczna strefa, że nie może sobie na nią pozwolić, by mogła zachować zdrowy dystans. One stanowiły część gospodarstwa, jak pług, stodoła, lejce. Nie bez powodu nazywano je żywym inwentarzem. Inwentarz, czyli składnik majątku, coś, o co się dba, aby osiągnąć korzyści. Tak też je traktowała. Bezosobowo i beznamiętnie. Owszem, zdarzało się jej okazywać nieco więcej czułości wobec gniadego konia i łaciatej suki Toli. Pozostałe zwierzęta traktowała jednak jako źródło mięsa, mleka, skóry czy jaj.

Za to drzewa, drzewa miały w sobie jakąś bliżej nieokreśloną moc. Coś, co ją do nich przyciągało. Coś, co uspokajało, zasilało, uodporniało. Siadała więc w ich pobliżu, przytulała się, opierała plecami i czekała na zmrok.

Po latach uświadomiła sobie, że tatuś nie zdołał wyjaśnić jej, jak żyć z brakiem kogoś, kogo traci się bezpowrotnie. Nie wspominał też, że wtedy otwiera się w człowieku czarna dziura, która pochłania wszystko, a co jakiś czas się poszerza, pulsuje i nie chce się zabiliżnić.

Zapomniał lub zrobił to z premedytacją, bo wielokrotnie musiała mierzyć się z tym wyzwaniem i próbowała uwierzyć, że coś takiego jak śmierć nie istnieje, podczas gdy człowiek, którego kochała najbardziej na świecie, nie miał już okazji jej o tym przekonać. Za to niekiedy, stojąc na wzgórzu od zawietrznej, słyszała jego słowa:

– Pewnych rzeczy nie da się zatrzymać. Naucz się żyć ze stratą. Kiedy człowiek nie ma już nic, pozostaje mu jeszcze godność. A tego nikt nie może mu odebrać, poza nim samym.

Wtedy dopadała ją smutek, głęboki i ciężki. Więził, by po dłuższej chwili puścić i by znowu, jak za dziecięcych lat, mogła biec za białym motylem, zachwycać się jego tańcem, podglądać pasikoniki, wsłuchiwać się w ptasie trele.

Przetrwała dzięki naturze i dlatego że taka jest naturalna kolej rzeczy. Przetrwała dzięki temu, co ją otaczało. Jeszcze mocniej zaczęła kochać drzewa. A przecież bywały w jej życiu także takie momenty jak ten, kiedy zamieszkała w mieście i weszła w jego rytm na dobre, gdy przestała je zauważać i czerpać od nich siłę.

Miasto nad wieloma

rzekami, rzeką oplecione. Miasto dryfujące, wzniesione na wodzie, nasiąknięte mułem, wilgocią, zmiennością. Nic nie stoi, całość płynie. Czas, czasy, ludzie. Zdarzenia i okoliczności. Poglądy i systemy. Kultura i technika. Nauka i sztuka. Wielokrotnie przekrojone, podzielone, rozdrobnione wodnymi liniami. Kanały, koryta, mostki, kładki, zapory, groble. Mosty. Żelazne, drewniane, betonowe. Młyńskie, Osobowickie, Pomorskie, Uniwersyteckie, Trzebnickie, Warszawskie. Grunwaldzki, Mieszczański, Oławski, Piaskowy, Tumski, Zwierzyniecki, Lignicki.

Breslau i jego trzysta trzy mosty. Trzystu trzech łączników, punkty spinające odległe brzegi, odwrócone od siebie strony. Mosty łączą to, co natura postanowiła rozdzielić. Odseparować,



Stowarzyszenie Literatura Autorów

to krakowska inicjatywa twórców, których łączy przeszłość na kierunkach twórczego pisania UJ oraz chęć doskonalenia warsztatu. To miejsce, gdzie autorzy i ich teksty są na pierwszym miejscu. To przestrzeń dla tych, którym odmawia się głosu, choć na to zasługują. SLA organizuje warsztaty, wspiera inicjatywy akademickie, wydaje książki i, co najważniejsze, pozwala autorom wybrzmieć ich twórczością.

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska – poetka, pisarka, scenarzystka, redaktorka, animatorka kultury, absolwentka Studium Literacko-Artystycznego na Wydziale Polonistyki UJ w Krakowie oraz Wytwórni Scenariuszy przy WFDiF w Warszawie. Autorka poematu *i tu, i tu* (2014) nagrodzonego w konkursie Miasta Krakowa na Książkowy Debiut Poetycki 2014, a także *Szczęściodołów* (2016), *Kręgu ochronnego* (2018), *Trójki* (2018), *impresji* (2019), *miniatur. portretów krakowskich* (2020), *przesłuchania* (2020), *Tańca wariata* (2021), artbooka *WOLNO* (2022) oraz zbioru opowiadań *Dzielnica (bez) cudów* (2020) nominowanego do Nagrody Literackiej „Jantar”. Autorka scenariuszy i sztuk teatralnych, m.in. słuchowisk *Historia dla dzieci*. Współtwórczyni i redaktorka Babińca Literackiego – portalu promującego poezję tworzoną przez kobiety. Stypendystka ZAiKS, MKiDN oraz UMWW. Prowadzi warsztaty artystyczne dla dzieci i dorosłych. Aktualnie studiuje malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.



wielkopolska
kultura u podstaw

INSTYTUT
LITERATURY



Stowarzyszenie
Literatura
Autorów

Matronat:



ISBN 978-83-8138-816-0



9 788381 388160